

CÓRKA ŻEBRACZKI.

Romans kryminalny.

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ J. R.

8 (Ciąg dalszy).

Stanawszy za progiem, hrabia zatrzymał się. Przed Gizelą zakrywały go ciemne portyery. Przetarł czoło ręką, szepcząc:

— Oczarowała całkiem mego biednego przyjaciela, ale ze mną jej nie pójdzie tak łatwo. Bo kto ma takiego anioła piękności, jak ja, tego serce zabezpieczone jest i zahartowane tak, że odbija się o nie nawet najo trzejsze strzały Amora.

Rozsunął portyery i bez szelestu stanął w salonie. Ona stała przy oknie, patrząc na ulicę. Była wysoka i smukła, wspaniale zbudowana.

— Co za postać — zupełnie jak moja Laura! — szepnęła hrabia mimowoli i podszedł ku niej. Odwróciła się od okna i spojrzała na niego. Oczywiście, napotwór zimne, spotkały się ze sobą i nagle z piersi obojga wyrwał się głęboki krzyk. Hrabia rzucił się ku niej i objął silnymi ramionami omdlewającą ze wzruszenia — własną żonę.

Zasłona spadła. Hrabia Jan Mironeau poznał teraz, że był małżonkiem Gizeli, córki niewinnie skazanych rodziców. Drżąc na całym ciele, trzymał w objęciach tę żonę, która, do lilii podobna złamanej, opadła bezsilna na jego piersi.

Pod wpływem jego ognistych pocałunków odzyskała jednak wkrótce przytomność i zaledwie otworzyła oczy, podnosząc je na hrabiego, z ust jej wyszły szepem słowa:

— To ty jesteś tym Cronier'em?

— Tak, ja. Ale po za tym starym kapitalistą, kryje się twój Jan, twój mąż, hrabia Mironeau, który cię gorąco kocha, który cię ubóstwia, ciebie — Gizelo!

Wyrwała się z jego objęć.

— Zasłona spadła — rzekła — i teraz drogi nasze się rozchodzą, aby się nigdy nie skrzyżować!

Szybkim krokiem zwróciła się ku wyjściu. Przy drzwiach jednak zastąpił jej hrabia drogę.

— Nie mówisz tego chyba na seryo, Gizelo! Przecież nie chcesz zdrzgotać mego szczęścia!

— Przeciwnie, mam zamiar uchronić cię od nieszczęścia, jeżeli od ciebie...

— Wiem, co chcesz powiedzieć — przerwał jej hrabia. — Ale powinnaś mnie naprzód wysłuchać, jeżeli mnie chcesz sądzić.

Wzięła ją pod rękę i zaprowadził ku sofie, gdzie oboje usiedli. Rozmawiali blisko pół godziny, wreszcie młoda kobieta rzuciła się na piersi swego małżonka i płacząc ze szczęścia, wyrzekła:

— Zasłona spadła i teraz dopiero widzę wyraźnie, jak jestem niewypowiedzianie szczęśliwa!

Takie było zakończenie ich rozmowy po tak niespodziewanym spotkaniu.

X.

Odcięty od stryczka.

Noc była ciemna. Gęste, czarne chmury pokrywały niebo, nie przepuszczając ani promyka gwiazd na cichy, snem zmierzony świat.

Droga, wiodąca przez pustą, niezamieszkałą zupełnie okolicę, wlokła się powoli jakaś kobieta. W lewej ręce miała nieduży węzełek, w drugiej kij. Od czasu do czasu przystawała i zapuszczała wzrok w ciemnię. Jednak, jak daleko tylko dosięgło jej oko, nie widziała nic prócz pól, krzaków i lasu. Naokoło nie było żadnej żyjącej istoty, żadnego ludzkiego mieszkania, ani świątyni, które, choćby nawet błyszczało gdzieś bardzo daleko, to jednak byłoby dla niej jakimś pocieszeniem, bo zwiastowałoby jej, że tam znajdzie jakąś ludzką osadę. Nie ujrzała nic, więc, westchnawszy głęboko, powłóczyła się dalej.

Droga prowadziła do lasu. Biedna kobieta jęła głuchą: Dalej już nie dojdę! — stanęła, a po chwili skręciła z drogi w bok i zaszyła się w gęstwinie. Znalazła miejsce, otoczone zewsząd drzewami i tam postanowiła przenocować. Było tam mchu i zwidłych liści podostatkiem, tak, że można sobie było przygotować jakieś takie pościelenie. Węzełek, jaki miała w ręce, zastąpił miejsce poduszki, jak zwykle, jeśli musiała nocować w polu lub w lesie.

Kobietą tą była Teresa Bernere, która, wypędzona od młynarza Materne, błąkała się bez myśli i celu.

Wprawdzie tu i ówdzie znajdowała miejsce, gdzieby mogła była zarobić coś na życie i utrzy-

manie, ale jak tylko gdzieś się dowiedziano, że ona niedawno wyszła z więzienia po odsiedzeniu kary za współudział w morderstwie, wszędzie pokazywano jej drzwi i mułała się zewsząd wycofać. Nie miała przecie ani książki służbowej, ani żadnych świadectw, ale musiała wszędzie, gdzie znalazła miejsce, pokazywać świadcstwo odbytej kary, w którym wyraźnie było powiedziane:

„Z powodu współuczestnictwa w morderstwie skazana na 15 lat ciężkiego więzienia“.

Zaiste, nieszczęśliwa to rekomendacja. Znaleźli się wprawdzie dobrzy ludzie, którzy mieli ochotę wziąć ją do siebie i dać jej przytułek, ale inni wnet im to wyperswadowali, tak, że zewsząd wypędzano ją jak psa.

I tak na każdym kroku spotykały ją ostre, niesmaczne docinki i uwagi, które jak krople truciźny wpadały w serce nieszczęśliwej. Co tu pomogły wszelkie zapewnienia o jej niewinności? Co pomogły gorzkie łzy, jakie nieraz wylewała? Wyrok sądowy wypalił jej na czole piętno zbrodni i pierwszy lepszy człowiek, z którym się spotkała, czuł się zupełnie uprawnionym do rzucania na nią kamieniem potępienia.

Nadeszła dla nieszczęśliwej znowu jedna noc, którą musiała przepędzić pod gołym niebem, w towarzystwie leśnych zwierząt.

Zaiste, los to godny pożałowania!

Jednak nieszczęśliwa nie złorzeczyła losowi, nie narzekała na niesprawiedliwość boską — ale znosiła krzyż swój w milczeniu, bo czyste sumienie i świadomość jej niewinności dodawała jej siły.

Zanim się położyła, uklękła na ziemi i złożyła ręce do cichej modlitwy, skrapiając ziemię gorącymi łzami. Modlitwę przerwał jej dopiero odgłos zbliżających się coraz bardziej kroków. Wprawdzie w ciemności nie mogła nic widzieć, ale trzask łamiących się suchych gałęzi, rozsypanych po ziemi, utwierdzał ją w przypuszczeniu, że zbliża się jakaś żyjąca istota. Czy to był człowiek, czy zwierzę, tego na razie nie mogła zbadać. Postanowiła się jednak na wszelki wypadek ukryć jak najlepiej. Wzięła więc węzełek i weszła do gęstwiny, jaka otaczała miejsce jej noclegu. Trzask gałęzi stawał się coraz wyraźniejszy, a pani Bernere zaledwie mogła oddychać z trwogi i natężonego oczekiwania tego, co się stać miało.

Wtem doszedł jej uszu krótki, suchy kaszel. A więc to człowiek znajduje się w pobliżu. Mogł on być od niej najdalej o trzy kroki oddalony, bo słyszała wyraźnie jego chrapliwy oddech. Naraz stanął i począł chodzić tam i napowrót po małej przestrzeni.

Pani Bernere siedziała z zapartym oddechem. Po chwili usłyszała jak nieznajomy wyrzekł:

— Tak, tutaj dokończę mego żywota! Boże! Zmiłuj się nad moją biedną duszą!

Pani Bernere serce bić przestało.

— Okropność! — szepnęła — nieszczęśliwy, zdaje się, przyszedł tu z zamiarem odebrania sobie życia!

Czuła, że nie może wobec tego pozostać bezczynną i postanowiła zrobić, co jest w jej mocy, aby samobójstwu przeszkodzić. Wysunęła się z zarosli i grając oczy w mrok, zobaczyła jakąś ciemną postać, schyloną obok drzewa.

— Nieszczęśliwy już się powiesił! — krzyknęła i rzuciła się ku niemu.

Samobójca umocował sznur na dosyć niskiej gałęzi, tak, że musiał uklęknąć, aby móżdż osiągnąć cel zamierzony.

Pani Bernere chwyciła za pętlę, chcąc ją rozwiązać a przynajmniej rozluźnić. Ale to jej się nie udało; sznur w, ił się już w szyję nieszczęśliwego. Spostrzegła, że w ten sposób go nie wyratuje. Nie namyślając się więc, wyciągnęła z kieszeni nóż i przecięła sznur. Ciało wsielca osunęło się, jak martwa bryła, na ziemię.

Tęraz dopiero wzięła się do rozluźnienia pętli, co jej się z łatwością udało. Kiedy to zrobiła, podniosła się, a piers jej falowała od głębokiego wzruszenia. Rozłożyła ręce i podniosła oczy ku niebu, na którym ukazały się zrzadka między chmurami gwiazdy.

— Nie zabieraj go jeszcze do siebie, Wszechmocny Panie, nie wołaj go nieprzygotowanego przed Twój sędziowski tron, bo tylko ciężar żywota mógł go pchnąć w otchłanie zwątpienia i skłonił go do podniesienia ręki na własne życie. On nieszczęśliwy, o Panie, i przeto bądź dlań miłosierny!

Uszu jej doszedł cichy jęk. Uklękła więc znowu przy wisielcu. Nieszczęśliwy już oddychał, oczy miał jednak jeszcze zamknięte. Wzruszona patrzyła na jego bladą, już zupełnie siwą brodą okrytą twarz.

Gdybyż była mogła czytać lub przynajmniej

czuć, co się na tej twarzy, będącej odbiciem duszy, malowało! Ileż walk musiał ten nieszczęśliwy przeżyć, zanim zdołał powziąć stanowcze postanowienie odebrania sobie życia w ten sposób. Co go do tego skłoniło? Czy rozczarowanie, jakiego doznał w swym życiu, czy to życie nosiło na sobie plamę zbrodni?

Ale pani Bernere o tem nie myślała. Jej chodziło tylko o to, w jaki sposób ma dokończyć swego dzieła i przywrócić do życia człowieka, który jedną nogą był już na tym mrocznym świecie. I kiedy tak nad tem myślała, nieszczęśliwy otworzył powoli oczy i podniósł wzrok na jej twarz.

Z rysów jego twarzy domyśliła się, że dopiero teraz zaczął przychodzić do przytomności.

— Więc żyje jeszcze? — szepnęła.

— Tak, mój przyjacielu — odrzekła. — Godzina pańska jeszcze nie przyszła i pan zanadto się pospieszył.

Mężczyzna westchnął głośno.

— Że też człowiek nie ma nawet prawa umrzeć wtedy, kiedy chce!

— Nie powinien chcieć — przerwała mu pani Bernere — Bóg nam dał życie i Bóg jeden ma prawo zabrać je wtedy, kiedy mu się podoba.

Nieznajomy milczał. Oparty plecyma o drzewo, na którym chciał umrzeć, siedział ze schyloną na piersiach głową i milczał. Naraz podniósł głowę, rzucił piorunujący wzrok na kobietę i zawołał szorstko:

— Idź pani precz! Zostaw mnie pani samego!

— Nie, ja tu pozostanę. Pan nie masz prawa mnie wypędzać.

— Pani tu już nie ma nic do roboty!

— O, ba! Ale nie mamy się o co kłócić, mój przyjacielu; ostatnie słowa, jakie chcę panu powiedzieć, są: Nie opuszczę tego miejsca chyba razem z panem. Słowa te brzmiały taką stanowczością i siłą, że nieznajomy nie miał odwagi się sprzeciwić. Milczał, błądząc wzrokiem po ciemnych zaroślach.

Pani Bernere nie przerywała mu tego milczenia. Wiedziała, że miał o czem myśleć i że te jego myśli nie były z pewnością wesołe. Po chwili wzięta go pod ramię i rzekła:

— Wstań teraz, mój przyjacielu i pójdz ze mną.

— Dokąd?

— Do domu.

— Do pani?

— Nie, do pana.

— Skądże pani wie, że ja mam dom?

— Tak przypuszczam.

— Na jakiej podstawie?

— Człowieka, który jest tak starannie i czysto ubrany, jak pan, z pewnością bieda nie gniece. Pan ma z pewnością jakiś dach nad głową i nie jest pan tak biedny jak ja, która jestem zmuszona iść od wsi do wsi i cieszyć się, jeżeli na nocleg znajdę suche, od wiatru zasłonięte miejsce, gdzie mogę złożyć na spoczynek zmęczoną głowę.

Mężczyzna spojrzał na nią ze zdziwieniem i współczuciem.

— Bóg mi świadkiem, że mówię prawdę — rzekła, patrząc nań.

— Dziwna rzecz — odpowiedział z uśmiechem — że pani, będąc tak biedną, nie straciłaś jeszcze chęci ani ochoty do życia.

A po krótkiej chwili dodał:

— Odciełś mnie pani od stryczka. Zobaczę, czy się potrafię wywdziąć.

Chciał się podnieść, ale udało mu się to dopiero wtedy, kiedy dzielna kobieta mu pomogła. Przez chwilę jeszcze stał oparty o drzewo, potem rzekł:

— Dobra pani! Podaj mi pani ramię i prowadź mnie!

— Z największą chęcią, jeżeli mi pan tylko pokaże drogę, którą pójść mamy.

Zabrała węzełek i wzięwszy go pod ramię, opuszczała to niegospodnie miejsce, które los przeznaczył na punkt wyjścia ważnych zdarzeń, jakie miały życie ciężko doświadczanej kobiety na nowe zupełnie skierować tory.

Z początku musieli się z trudnością przedzierać przez gęstwinę i zarośla, ale, jak się okazało, mężczyzna znał doskonale drogę, bo szedł stale w jednym kierunku, nie orientując się wcale. Wreszcie las zaczął się przerzedzać powoli, aż w końcu weszli na pola, na mało uczęszczaną, ale w świetle gwiazd widoczną ścieżkę.

— Daleko jeszcze? — zapytała pani Bernere.

— Za kilka minut będziemy na miejscu.

Tak było w istocie; bo w kilka chwil później wynurzyły się z ciemności zarysy jakiegoś małego budynku, który się wznosił nieco wyżej ponad otaczające go krzaki.

— A więc jesteśmy w domu — rzekł mężczy-